

ZŁOTY RÓC
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

N^o

WARSZAWA

DNIA 30 LISTOPADA 1913 R.

48



HENRYK Czerwik

PLAC TEATRALNY.

Emil Zola pisał gdzieś, że miasto, jest jak wielki stugłowy potwór, że posiada wszystkie narządy zwierzęce — potrzebne do życia, że ma mózg, który myśli, ręce — które pracują, oczy rozglądające się wkrąg lub w siebie zapatrzone, serce — którym kocha. Rzecz prosta, iż posiada także żołądek trawiący i cały system pokarmowy — zwierzę owe apokaliptyczne, tak napozór martwe dla niektórych — istotą swą żyjącą w stu postaciach indywidualnie — widoczne tylko dla nielicznych. A ci wiedzą, gdzie należy szukać duszy miasta, w jakiej jego stronie odbywa się praca — i gdzie ono marzy, kocha, pragnie. Wiedzą po których ulicach w mroku wieczornym siania się duch kamiennego zbiegowiska domów — tej tkanki organicznej dziwnego potwora i kiedy przygotowuje on karm na dzień jutrzejszy.

Może tedy każdy powiedzieć, iż w tej a tej fabrycznej dzielnicy, leżącej w mroku węglowego dymu, wśród lasu kominów — miasto pracuje, aby na wszystkie strony swego olbrzymiego cielska rozesłać produkty, wytworzone wysiłkiem a znojem, aby zaspokoić swe potrzeby. A kędy

indziej błyszczy ono oraz imponuje, frymarczy i staje się rynkiem. To znów, rozjarzone elektrycznymi lampami — na szerokich, wykwinnych ulicach odbywa swe wcielenie rozpustne a mamiące — puste i szalone.

W Warszawie, miejsce placem Teatralnym zwane — stanowi obręb, w którym miasto poniekąd odpoczywa i marzy...

* * *

Plac Teatralny żyje dostojnie. Plac Teatralny żyje inaczej, niż zgiełkliwy Nowy Świat, niż wiecznie zarojona ulica Marszałkowska — lub Żelazna, kędy w powietrzu zawisł wysiłek pracy, kędy fizycznie odczuwa się energję naprężonych mięśni, wyteżonej uwagi — przy huku maszyn wędzających wszelką samoistość i stwarzających ów niepokojący fluid mechanicznej sprawności — płynący zda się — kamiennym łożyskiem tej ulicy.

Plac Teatralny — to arystokrata ulic warszawskich, wybredny i spokojny, pędzący żywot barwny, głęboki, w którym jak gwiazdy błyszcza



Henryk Czerny.

U Semadeniego.

rozszalone chwile ekstazy różami płomiennymi rozkwitającej tam, pod klasycznymi sklepieniami gmachu teatralnego. To—patrycjusz rozmiłowany w Sztuce, w świetnej tradycji natchnienia — jeszcze urzędniczy i chłodny w miejskim Ratuszu— a już twórczy i niebotyczny przed królewskimi kurtynami dwóch teatrów, wspólnym dachem połączonych.

Plac Teatralny nie pracuje dla chleba, jak pierścień ulic, opasujących go wokół. Wyje na nich tłuszcza i roztrąca się wzajemnie. Welni się strumieniem przez milion sklepów i zakładów, instytucji bankowych, składów i magazynów — tworzy morze namietności, wściekle, rozbałwanione morze walki o Byt. Plac Teatral-

ny jest pośród tego morza wyspą szczęśliwą, cichą wyspą, na której wznosi się o antycznych zarysach świątynia, Muzom poświęcona. Ona — to mu herbem szlachectwa, boską egidą. Rozpostarła swój majestat szeroko wkrąg, na olbrzymich, klasycznych kolumnach stanęła. Jak tron niezemskiej powagi i pięknej, tragicznej wzniosłości — władczo zapanowała. Wązkimi oczami swych małych okien zapatrzyła się w gmach Ratusza i wyżej jeszcze na wieżę zegarową, na której szczycie, po żelaznej galerijce chodzi człowiek w złotym, lśniącym hełmie i patrzy czy gdzieś miasta nie pożera ogień, czy nic złego nie grozi demokracji i plutokracji ulic, gęstą siecią na okołó utkanych.



Henryk Czerny.

Ratusz Warszawski.

Wydaje się, że Plac Teatralny ześrodkowuje w sobie wszystkie nici Warszawy, nici dusz i ciał — że jest jej sercem.

*

*

*

W dzień arystokrata ów drzemie lub gawędzi. Fale miejskiej wrzawy zalewają wyspę dostojności — Plac Teatralny. Pod filarami teatru, koło wejść, snują się ci, którzy pragną kupić bilety na wieczorne przedstawienie. Przyczepia się do okienka kasy wąż publiczności — wąż przyszłych widzów. Leb takiego węża chwyta już bilet, a ogon niecierpliwi się. Kiedyż on stanie się głową? I staje się nią powoli. Był przed chwilą końcem ogona, a oto przyczepiło się doń z tyłu parę ogonów i w ten sposób zbliżył się do celu. Tedy ujrzy wieczorną fetę tragedji lub śmiechu. Wejdzie w kolej innego przeżywania i zbędzie z ramion ciężar swych trosk codziennych; z kręgu popolitości wejdzie w szranki niezwykłych zdarzeń Teatru. Przed kurtyną teatru Wielkiego, z zapartym oddechem wyczekiwać bądź rozpoczęcia widowiska. Ucieszy swe oczy weselem, po które przyszedł tu — na plac Teatralny. W Ratuszu zarejestrowane jest jego istnienie fizyczny, przed tron Teatru rzucony kult widowisk, kwitnący w sercu każdego prawie mieszkańca Warszawy. Innym ulicom oddaje swą pracę i zapobiegliwość, swą mękę codziennego bytowania; Plac Teatralny bierze zeń daninę najsubtelniejszą i najbardziej uduchowoną.

Do domu przychodzi ojciec i zastaje rodzinę przy obiedzie. — Kupiłem na dziś bilety do teatru, — powiada. I nagle pijana radość napeł-

nia skromne mieszkanie. Obiad już nikomu nie smakuje — bo czemże jest wszystko wobec obiecanej rozkoszy wieczoru... Bilety teatralne weszły do tego domu — niby fetysze szczęścia. I myśl o nich kojarzy się wnet z widokiem Placu Teatralnego. Tam, a nie gdzieindziej zaklęty wieczór założył królestwo.

*

*

*

Gdy tak spojrzeć o świcie na Plac Teatralny, we mgle tonący, to wydaje się, iż ludzie nie z tego czasu snują się pod filarami, że odbywa się tutaj jakiś bezszmery spacer postaci — w dzień, w żadnej innej sytuacji życia warszawskiego — niewidocznych. Ze Starego Miasta, ze starych, zadumanych uliczek zeszedł się lud dawnych mieszczan... Dziewczęta i starzy patrycjusze, rycerze kiedykolwiekbądź na scenie wcielani — i król w lśniącej koronie, królowa z wachlarzem — którzy zstąpili z kurtyny Teatru Wielkiego, wyszli z fałd draperji, spowijającej ich tajemniczo. Tak brzmi, nielicznym tylko wiadoma, legenda Placu Teatralnego. Nasuwa ona wspomnienie nocy karnawałowych, gdy ze wszystkich stron miasta ciągną się pojazdy, a z nich wysiadają damy w białych perukach, cyganki i hiszpanki zamaskowane, paziowie i strojni rycerze. Zegar ratuszowy bije późną godzinę, a tłum masek wślizguje się w podwoje sal teatralnych, wiruje w słynnej cukierni Semadeniego — i po wieczorze widowisk, po codziennem nabożeństwie Dyonizosa — spada na plac wesołe szaleństwo nocy, która tutaj obrała sobie miejsce bachicznych piasów. Zaś stary, wiecznie świętujący w twórczej zabawie patry-



Henryk Czerny.

Teatr Wielki

ejusz — Plac Teatralny — okrywa się gronostajowym płaszczem gry światła i cieni i rzuca w długie szyje ulic tchnienie blasku i poszumnej orgji.

* * *

Codziennie święto Placu Teatralnego zaczyna się z chwilą, gdy zegar wieżowy ósmą godzinę obwieści. Karety powozy, automobile, dorożki. Panie, spływają zda się ze stopni pojazdów,

rozsiewają dookoła zapach perfum, pudru. Oczy błyszczą jak klejnoty — zgoła brylantowym blaskiem, a nie innym.

Żółte światło elektryczne — płynie z cukierni Semadeniego.

Za chwilę zacznie się przedstawienie. Prędeż! Prędeż! Spóźnimy się. Taką ciekawą sztukę dziś grają. A tę bluzkę, włożyłam dziś dopiero poraz pierwszy — słowo daję... Przed afiszami, opancerzonymi siatką drucianą skupia się garstka szarych, bezbarwnych postaci. To młodzieńcy i dziewczęta, którzy nie mają na kupno biletu, którzy, niczem melomani, znają wszystkich aktorów i cały repertuar, z afisza — z okratowanego afisza. Patrzą w milczeniu na strojny tłum i groźne blaski zapalają się w oczach tego ludu — tego samego ludu, który w Rzymie starożytnym wył dziko: „Panem et circenses!”

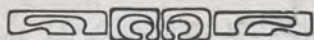
* * *

Ogromnie lubię patrzeć na Plac Teatralny w słoneczne południe. Złoty deszcz spływa po dachach, po murawie skweru, po balkonach i fryzach. Naokoło ściele się ciemny ocean tłumy, zalegającego Senatorską i Bielańską i dalej jeszcze — w zgiełku i burzy. O parę kroków stąd czyha najokropniejsza nędza Starego Miasta i brud handlowej dzielnicy. Plac Teatralny używa, mimo to bez troski, jest wciąż pogodny i szczytny. Błyszczy w słońcu. Przychodzi mi na myśl, że błyszczą jak nowy medal. Jest to naturalnie — tylko jedna strona medalu.

Jakób Appenzlak.



S Z K I C E.



PIÓRO PAWIE.

O, ten ogród, głęboki jak wspomnienie!
O, biały ranek! O słońce igrające na lekkiej
siewce stawu!

Kiedy gołębie wysoko i radośnie unosiły się
w niebiosach, zaczął krążyć po żółtawych ścież-
kach. Na wieży zegar wydzwonił jedenastą, kie-
dy ujrzał coś lśniącego i czarującego, coś, co
leżało lekko na żółtym piasku ścieżki.

Było to pióro pawie.

Wydał okrzyk rozkosznego przestachu, rzu-
cił się naprzód, aby je schwytać — z trwogą, że
się ono zerwie, uleci i ukryje w zielonym gą-
szczu. Lecz zanim palce dotknęły pióra, waha-
nie objęło jego serce. Wydało mu się, że pió-
ro jest zbyt piękne, że może nie leży tu dla
niego. Miętko podsunął dwa palce i cicho pod-
niósł pióro, które lekko zawachlowało. Poniósł
je, trzymając za łożysko, jak gałązkę oliwną.
Stąpił jak zwycięzca. Serce jego śpiewało. Za-
chwycone oczy nie widziały nic prócz pióra pa-
wiego.

W nocy przysniło mu się, że wielki czarny
wąż pełźnie po jaskrawej trawie. Pióro wisi,
kołysząc się cicho na gałązce agrestu. Wąż roz-
warł paszczę bladoczerwoną, milczącą, paszczę,
aby połknąć pióro.

Krzyknął z rozpacz i przestachu. Obudził
się. Pióro leżało w przezroczystej wazie szlanej,
gdzie położył je był wczoraj.

Dwie radosne łzy upadły mu z oczu. Za-
czął się nowy piękny dzień...

MORZE.

Widziałem morze — nad wieczorem. Prze-
strzeń ogromna, nad którą unosi się mgła. Lecz
ta przestrzeń poruszyła się, jak skóra człowieka
żyjącego.

Morze jest ciche. Morze jest olbrzymie.

*

Morze zmienia się częściej, mocniej, niż
cokolwiek innego, bardziej twórczo, bardziej nie-
oczekiwanie. Błękit nieba wygląda blado wobec
jego napisów i granatów, porżniętych wirami
gwiazd, żyłami żywych malachitów. Toń rozko-
łysana, kwitnąca, gniewna, burzliwa! Ogromne
serce — nieprzeniknione w tajemnicach!

*

Stało się oślepiająco ciche, jakby zapadłe
i uciekające w głąb ziemi. Wydyma się i roz-
pościera! Rozmawia z krańcami widnokregu, któ-
re rozsuwają się, aby mu miejsca ustąpić! Za-

snuwa się mgłami, gaśnie, lśni jako topione
srebro. O głębokie tony srebrne, o tory opali-
zujące! Człowiek wobec morza staje się dumnym,
lub nigdy nie będzie niczem.

*

Deszcz. Morze ołowiane i posępne. Huczy.
Szarfy pian — grube, popędliwe.

Na tej połyskującej ledwie lub matowej,
ołowianej otchłani — stanie czasem odbicie czer-
wonych obłoków wśród nawały gęstych chmur
czarnych.

Widnokrug zamknął się w kształcie półkre-
gu, a gdzie morze ma się zetknąć z niebem —
gruby pas żalobny, jakby kto szarym, pokutni-
czym to miejsce posypał popiołem.

*

W nocy gdy nad morzem stoją czarne
chmurzyska, nieprzeniknione i ponure, z obrąb-
kami ołowianymi, poszarpane i porąbane, po-
strzępione jak cielska, tu i owdzie prześwieca-
jące zmatowaną blachą — morze jest ciemną po-
sępną przepaścią — bez granic i nadziei! To bul-
goczący warem czarny olbrzymi krater, z któ-
rego leją się piany.

*

Morze spokojniejsze, faluje, jest zielonawe.
Tu i owdzie śmiga piana, jakaś rozchełstana jej
garstka. Nad tem unosi się księżyc. Wycedza
się z czarnych chmur, jasny połowiczny. To za-
chodzi za nieprzemknioną zasłonę, to załśni
i wyściele sobie drzącą świetlistą drogę na
morzu.

*

Czarne otchłanie chmurzysk i księżyc srebrny.
Melodja czarnosrebrna!

W takiej przerwie, utworzonej księżycem,
widziałem dwie gwiazdy. Obie czerwone, blisko
siebie stały. Wyglądały jak dwa ogniwa rozsy-
panego naszyjnika albo jak dwie siostry samotne.
Zdawało się, że płyną lekko i smutnie, w sre-
brzystej przerwie, wśród czarnej otchłani — na
północ!

*

Przy zachodzie — morze jak perłowa kon-
cha. Opalizuje, podbite fioletem, szmaragdem,
różami. Niemal gładkie, z drobnymi dołkami,
ma odcienie najbarwniejszych ptaków kwiatnych.
O tej porze reje na wysmukłym trójmasztowcu
stały się złote. Złoto lśniło również w dalekich,
bardzo dalekich oknach miasta — na południu.

Leon Choromański.

GODZINA.

(SCHERZO).

Godzina uśmiecha się czasem, jak sen,
który jest lekki i ma złote usta!
— Który na serjo bierzesz,
lecz, nim się spostrzeżesz —
ulata — sen!
Godzina bywa czasem, jak sen...

Godzina uśmiecha się czasem, jak pusta
kobieta, która doskonale wie,
że jej z promienną beztróską do twarzy.
Myśli — to zmarszczki. Wie to doskonale;
wie też, że kiedy zmarszczki przyjdą, jest
[już źle —
więc nie myśli wcale.

Godzina uśmiecha się na ogół rzadko —
w tym jest podobną do zdradzonej żony...
— Więc chyba jest meżatką?
Godzina — takby tedy wynikało —
ma analogję z ludzkiej „słabszej” strony.
(choć mówi mało...)

Czym jest godzina?
Wiemy wszyscy,
a właściwie nie wiemy nic o niej.
Raz jesteśmy jej cudownie bliscy,

kiedy w sercu złota pieśń nam dzwoni,
Pieśń tak samo zwiewna, jak i ona,
ale smutna, bo niedokończona...

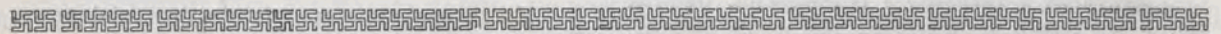
Godzina może być radością.
(Ale tylko we dwoje).
Może być żartem i śmiechem —
grzechem —
nudnym spacerem we troje —
albo poprostu: miłością.

Godzina lubi lalki,
prześlicznie ubrane —
mówiące „Papa” i „Mama” —
— nakręcane.

Godzina zapala zorze i znicz uniesienia
[święty;
uspakaja — i porywa wiatry;
bywa kaprysem Kleopatry —
i pali okręty...

Godzina nie wraca. Gdy wraca —
— jest nie tą.
Smutna — i jasna — kochana —
dobra — zła — przeklinana —
ma gości.
Nie wierzcie jej, bo jest —
kobietą.

Zdzisław Kleszczyński.



DESTRUKTOR BEZPŁODNOŚCI.

W ubiegłym tygodniu zmarł uczony, który w życiu naukowym Polski niedawnej jeszcze do-
by odegrał pierwszorzędą rolę. Przedewszyst-
kiem kierunek duchowy Warszawy zawdzięcza
mu niezmiernie dużo. Jeżeli tu właśnie objawiła
się zdrowa myśl *empiryzmu*, która gęstem si-
tem krytycyzmu oddzieliła zdrowe ziarna płod-
nej myśli filozoficznej od plewy metafizycznej,
to niemała w tem zasługa zmarłego tragicznie
myśliciela.

Adam Mahrburg, bo o nim mowa, uro-
dził się w roku 1855, pod Mińskiem na Litwie.
Studja literacko-filozoficzne kończył w Petersbur-
gu i Lipsku. Działalność literacką rozpoczął je-
szcze na ławie uniwersyteckiej, rozprawą o fi-
lozofji Platona, za którą otrzymał złoty medal.
Następnie oddaje się żywej pracy publicystycz-
nej w Warszawie, gdzie też od roku 1903 do
1907 redaguje „Książkę”. Liczne bardzo prace
swoje: studja i artykuły, notatki, referaty i po-
gadanki, komentarze i tłumaczenia, publikuje

bądźto osobno, bądź też w rozmaitych czasopis-
mach jak: „Kraj”, „Ogniwo”, „Prawda”, „Głos”,
„Ateneum”, „Niwa”, „Książka”, „Przegląd fi-
lozoficzny”. Artykuły jego drukowały również
wydawnictwa „Poradnika dla samouków”, jak
„Rozpraw Wydziału historyczno-filozoficznego
Akademii Umiejętności”. Pod jego też redakcją
wychodziły tłumaczenia dzieł z zakresu filozofji
obcych autorów z przedmowami pióra wielkiego
promotora naszego ruchu filozoficznego.

Z ważniejszych dzieł Adama Mahrburga na-
leży wymienić: „Teorja celowości ze słownika
naukowego” (1888), „Psychologja współczesna
i stanowisko jej w systemie wiedzy” (1891),
„Dziedzicność pod względem empirycznym”,
„Rozwój życia psychicznego”, „Co to jest nau-
ka?” (1897), „W sprawie naukowości metafizyki”
(1903), „Herbert Spencer”, „Emanuel Kant”, „Wundt
i jego teorja poznania”, „Artur Schopenhauer”,
„Historja nauki” (1901), „Historja filozofii” (1899)
„Logika i teorja poznania” (1902), „Podział i

układ nauk“, „Filozofja i metafizyka“ (1902), „Pedagogika eksperymentalna“, „Monizm współczesny i echa jego u nas“, „Pozytywizm w oparach reakcji“ i t. d. Omawiał też dzieła: Comte'a, Ribota, Merciera, Kanta, Schopenhauera, Huxleya, Haeckla, Ostwalda, Hume'a, Nietzschego, Jevonsa, Bergsona etc, z naszych: Nusbaum, Heinricha, Ochorowicza, Szokalskiego, Dawida, Struvego, Wartenberga, Gołuchowskiego, Straszewskiego, Kozłowskiego, Brzozowskiego, Przybyszewskiego i t. d. Na polski zaś przełożył: „Myśli o muzyce“ Weissmanna, „Psychologję“, oraz „Historję filozofji“ Haralda Höffdinga (1910), pod jego zaś redakcją wraz z przedmową ukazał się ostatnio „Wstęp do filozofji“, Falckenberga.

Dłuższy też czas był redaktorem „Przeglądu litewskiego“, tygodnika „Kraj“, gdzie pomieścił wiele artykułów niepodpisanych.

I niewielkie prace Mahrburga są wyrazem właściwej jego twórczości, jak np. „Teoria celowości“, w której materiał historyczny, oraz nieodzwonne schematyczne traktowanie przedmiotu, zabija nerw jego żywego temperamentu, lecz właśnie najciekawsze są te drobne, ulotne, artykuły.

Mahrburg — to *polemista z urodzenia*, polemista w zakresie teorji wszechstronnej wiedzy ludzkiej. Pamiętne więc nam są jego namiętne polemiki ze Stanisławem Brzozowskim, Dawidem, Wł. Kozłowskim, Heryngiem, Struwem Dybowskiem oraz z prof. Prazdowskiem w kwestji stosunku psychologji do filozofji i fizjologji.

Polemiki jego, jak wogóle dzieła, mimo zwyczajnej, znacznej, dozy temperamentu, są ściśle i na wskroś krytyczne. Do każdego przedmiotu swej myśli odnosi się krytycznie i krytycyzm właśnie jest główną osią jego poglądów filozoficznych w których jest raczej — *destrukto-rem*, aniżeli twórcą nowych idei.

Słusznie też *Dr. Władysław Spasowski* autor gorącej monografji *) poglądów Mahrburga, oraz jego uczeń, pisze: „Myśl krytyczna“ (nowoczesnej filozofji polskiej) trysnęła z dwóch źródeł. Jednym z nich było i jest funkcjonujące od r. 1896 na uniwersytecie lwowskim Seminarjum filozoficzne *Twardowskiego*, które doprowadziło do powstania w r. 1904. Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie. Do roku zaś 1907 przez lat kilkanaście mieliśmy drugie takie, co prawda, mniej oficjalne, lecz nie mniej żywotne ognisko pracy filozoficznej w Warszawie, a duszą jego był właśnie *Adam Mahrburg*. Gdy na wszechnicach polskich kwitła przeważnie metafizyka i filozofja dogmatyczna prawdziwa filozofja dogmatyczna prawdziwa filozofja naukowa rozwinęła się u nas w cieniu i w kryjówkach ostronnych szukała i znalazła sobie adeptów.

W najbardziej niepomyślnych i krępujących warunkach, w katakumbach, przez szereg lat udzielał Mahrburg nauk licznym zastępom słuchaczy, garnących się z zapalem do wiedzy

istotnej. Parę tysięcy osób, rekrutujących się z pomiędzy młodzieży uniwersyteckiej i politechnicznej, młodych lekarzy-psychojatrów, prawników i nauczycieli, żadnych wiedzy filozoficznej, przeszło szkołę Mahrburga, słuchając (od roku 1890) zarówno pociągających, jak w wysokim stopniu pouczających, bo na najlepszych, krytycznie opracowanych źródłach opartych, wykładów z dziedziny psychologji, logiki, teorji poznania, teorji sztuki, pedagogji i historji filozofji. Co prawda, wspominając promotorów naszego ducha filozoficznego, nie wolno nam pominąć zasłużonego Weryhę, redaktora „Przeglądu filozoficznego“ oraz twórcę „Towarzystwa psychologicznego“, gdzie obecnie skupia się cała filozoficzna Warszawa.



Ś. p. Adam Mahrburg.

Mahrburg, zajmując się zasadniczo teorją poznania i psychologją, stoi na stanowisku bezempiryzmu. Nawiazywanie poglądów jego do Kanta jest raczej tylko produktem gry wyrazów o „Krytycyzmie“, aniżeli rzeczą właściwą. Niedarmo to „rzecz samą w sobie“ nazywa „chimerą brzęczącą w próżni“, a nawet ostro występuje przeciwko przypuszczalnemu „bytowi absolutnemu“ *Spencera*, którego zresztą metodą uzupełnia poglądy *Comte'a*. Wogóle broni *pozytywizmu uzupełnionego krytycyzmem i ewolucjonizmem*. W teorji wiedzy uwzględnia „perspektywę rozwojową“, tak brakującą właśnie kandydaci. Zasadniczo zwalcza wszelki materializm, jak monizm (Haeckla), z drugiej zaś strony walczy namiętnie przeciw animizmowi antropomorficznemu całej teleologii, uważając metafizykę za pęczkę myśli w duchu *Langego*.

Wspólnie z poglądami empirokrytycyzmu *Macha i Avenariususa* przydaje ekonomicznego znaczenia pojęciu istoty nauki.

Psychologję uważa za naukę *przyrodniczą*, pojmując całe życie duchowe skrajnie *deterministycznie*. To mu też zamykała wrota twórczej samodzielności.

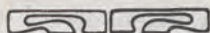
Wogóle był namiętnym destrukto-rem bezpłodności i jałowości wszelakiego rodzaju przesądów metafizycznych — i w tem tkwi cała zasługa działalności Mahrburga. Kiedy przeczył i obalał — argumentował silnie i uparcie, kiedy zaś twierdził, słabła moc argumentacji. Wielki destruktor pokonał... sam siebie!

Ze względu więc właśnie na publicystyczny charakter pracy Mahrburga, wartoby zająć się zbiorowem wydawnictwem rozrzuconych jego artykułów, poruczając w tej mierze zadanie odpowiedniej redakcji.

Dr. Wiktor Strusiński.

*) „Adam Mahrburg i jego poglądy na naukę i filozofję“. Ankieta porównawcza. Warszawa — Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1913. Str. 181. Cena 1 rb. 50 kop.

TYDZIEŃ MUZYCZNY.



Z O P E R Y.

Nie bardzo jest na czasie pisać teraz o wznowieniu „Walkirji“ Ryszarda Wagnera (dla czego „Walkirje“, kiedy po niemiecku opera nazywa się „Die Walküre“), lecz wobec tego, że na szpaltach pisma naszego o wznowieniu tem nie jeszcze nie pisało, niech wolno mi będzie skreślić choć kilka słów. Tempa, jakie p. Cimini nadał temu dziełu, z małemi wyjątkami dość odpowiadały intencjom autora, lecz to jeszcze nie wystarczy do wzorowego poprowadzenia tą operą. Brakło p. Ciminiemu najważniejszej rzeczy — tej iskry szczerego natchnienia, które dopiero każdy czyn artystyczny, czy to tworzy, czy odtworzy wynosi do wyżyn piękna. Najwięcej natchnione ustępy „Walkirji“, jak wstęp do drugiej sceny drugiego aktu, wejście Brunhildy, a przedewszystkiem, jeden z najpiękniejszych momentów miłosnych w drugim akcie (w małym wyd. part. Schotta, akt II od strony 219-iej, przedostatniego taktu począwszy) wyszły błędnie i bez żadnego wrażenia. Natchnienie, które przy wszystkich innych operach, szczególnie włoskich, zastąpić można poniekąd rutyną i efektami czysto technicznymi, do wzorowego wykonania dzieł Wagnera jest najniezbędniejszym czynnikiem; kto widział Hansa Richtera dyrygującego „Śpiewakami Norymberskimi“, temu sens tych słów jaknajbardziej będzie zrozumiał. O ile jednakże orkiestra pod batutą p. Ciminiego mogła dać słuchaczowi pewne pojęcie o dziele mistrza z Bayreutu, o tyle wykonawcy poszczególnych ról stworzyli raczej karykatury postaci, aniżeli typy nakreślone przez autora. P. Ostrowski w roli Hundinga

najlepiej może się spisał, lecz ani p. Dygas — Zygmunt, ani p. Skwarecka — Zyglinda, zadaniu pod żadnym względem sprostać nie umieli. P. Ogrodzka wykazała przynajmniej wielką staranność w kreowaniu bohaterki dramatu, Brunhildy i starała się przyswoić sobie piękne i estetyczne ruchy przepisane przez Wagnera, w jej śpiewie zaś raziła pewna nieczystość w intonacji, choć nie w tym stopniu jak u p. Palewicza — Wotana, który ani jednej chyba nuty poprawnie nie zaśpiewał. Milczeniem zbyć tylko można osiem Walkirji naszej opery, przypominając jedynie powiedzenie Tacyty „qui tacent, clamant“. Rezultat wystawienia „Walkirji“ u nas jest taki, że publiczność zamiast nareszcie zbliżyć się do Wagnera, coraz więcej się odstrasza i na operę, której wznowienie każdorazowe powinno być ewenementem w naszym życiu „artystycznym“ wcale nie chodzi. Wobec tego, że naprawdę naszej operze brak t. zw. śpiewaków wagnerowskich, lepiejby może było, nie robić prób tak nieudanych z najwznioślejszymi wytworami ducha ludzkiego.

Wznowienie „Violetty“ Verdiego, „Manon“ Masseneta, „Cygankierki“, „Butterfly“ i „Toski“ Pucciniego uświetniła swoimi występami niepospolita śpiewaczka, p. Cervi-Caroli. Pod względem czysto śpiewaczym można by p. Cervi zarzucić to i owo, lecz drobne te niedobory świetna artystka najzupełniej rekompensuje fenomenalną grą sceniczną; szczególnie Violetkę i Manon odtworzyła z niesłychaną finezją i odczuciem. Doskonałego partnera w wszystkich swych występach miała w p. Gensardim, który w bieżącym sezonie stał się tak samo ulubieńcem naszej publiczności, jak p. Dygas.

Utalentowany ten artysta nie cieszy się posiadaniem głosu takiego, jak p. Dygas, lecz umie nim tak umiejętnie władać, że słucha go się z niewypowiedzianą rozkoszą. Występy p. Ciariniego mogły przyczynić się tylko do wykazania wartości p. Gensardiego. Tenże p. Gensardi jest także partnerem p. Lachowskiej w „Mignon“. Dyrekcja opery orientuje się chyba, że w p. Lachowskiej posiada najcenniejszą swą śpiewaczkę. Żadna z primadonn naszej opery nie dorówna tej artystce pod względem talentu dramatycznego i niezwyklej muzykalności. Poza pp. Lachowską i Gensardim w „Mignon“ zaszczytnie wyróżnił się także p. Metaxian, stwarzając wysoce komiczną postać Larteresa. Niestuszne są napaści prasy na tego artystę, nie posiadającego wprawdzie głosu Battistiniego ani Baklanowa, lecz mającego dość muzykalności i talentu scenicznego, szczególnie w zakresie charakterystycznym, by stwarzać w wszystkich swych rolach typy ze wszechmiar interesujące, zarówno w „Tosce“ „Pajacach“, jak w „Mignon“. Pp. Tracewska i Mechówna miały sposobność w ostatnim czasie popisać się swoją koloraturą, pierwsza w „Strasnym Dworze“, doskonale dyrygowanym przez p. Dołyckiego, druga w „Mignon“. Dlaczego Frédérica zamiast p. Zdanowiczówny nie śpiewała p. Zabiello, która do tej roli posiada odpowiedniejsze warunki, a głosowo w zupełności dobrze by ją wykonała — śpiewa przecież bardzo ładnie jako Siebel w „Faustie“ — trudno zrozumieć.

Oprawa sceniczna wszystkich wznowionych oper dużo pozostawiała do życzenia.

Bolesław Przybyszewski.





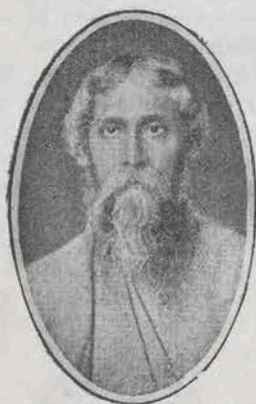
Słynny tancerz Niżyński, ożenił się niedawno z panną Pui-
ską, rosjanką. Jak wiadomo, Niżyński jest bodaj jedynym
teraz tancerzem, wcielającym najszczytniejsze ideały sztuki
tancerznej. Taniec w kreacji Niżyńskiego staje się świadomym
zupełnie aktem niepodległej twórczości. Ilustracja
nasza wyobraża moment, gdy młoda para wychodzi z ko-
ścioła w Buenos-Aires.



Adolf Nowaczyński,
kierownik Teatru Nowoczesnego.



Głośna na świat cały pani Pankhurst, przy-
wódczyni angielskich sufrażystek, ostatnio
udała się w podróż do Ameryki, wraz ze
swą córką, miss Christabel. W Ameryce
pani Pankhurst zamierza w szeregu odczy-
tów zobrazować cały dotychczasowy ruch
kobiecy oraz rozwinąć silną agitację wśród
amerykańskich feministek. Poza tem pragnie
ona bliżej się zapoznać z ustawami ame-
rykańskich związków kobiecych oraz z istot-
nymi wynikami walki o równouprawnienie
kobiet. Ilustracja nasza wyobraza panią
Pankhurst z córką na pokładzie wielkiego
transatlantyckiego okrętu, w drodze do
Nowego Jorku.



Rabindranath Tagore,
poeta hinduski, laureat nagrody Nobla.

Szlakami życia miliardera.

Niejaki Jewy W. Perkins, prezes Tow. opieki nad zabytkami przeszłości, zwrócił się do Morgana z prośbą udzielenia dość poważnej sumy na reparację pewnego zabytku.

— Ile panu potrzeba? — zapytał miliardera.

— 700,000 franków.

— Otóż udaj się do Rockfellera, Stillmana, Carnegiego, przyjdź następnie do mnie, a zobaczę, ile będę mógł dać.

— Ależ panie Morgan — zaryzykował Perkins — sądziłem właśnie, że pan mi ułatwi zadanie, zapisując się pierwszy na liście ofiarodawców...

— A więc zapisz mnie pan na całą sumę! — wrzasnął miliardera, biorąc się do wypisania czeku.

Perkins sądził, że Morgan z niego kpi, lecz po chwili rozwiały się jego iluzje.

Doktor Rainford, rektor kościoła św. Jerzego w New-Yorku wypowiedział się pewnego razu przed Pipem ze swego planu założenia przy kościele instytucji religijnej, socjalnej, moralnej, intelektualnej i techniczno-oświatowej. Morgan obojętnie słuchał planu, o którym przecież doktor Rainford opowiadał z zapalem i przejęciem się. Gdy skończył, rzekł doń miliardera: „Rozpocznij, uczyni coś, przyjdź następnie do mnie a zapadnie decyzja“. Z tych skromnych słów powstała jedna z najpotężniejszych instytucji Stanów Zjednoczonych, która imponuje zakresem swej oświatowej i filantropijnej na całą Amerykę działalnościami.

Któs zauważył, że katedra św. Pawła w Londynie nie ma światła elektrycznego — Morgan natychmiast na cel ten przeznaczył 225,000 fr.; takąż sumą obdarzył katedrę Saint John.

We Francji również poczynił Morgan szereg darów pieniężnych. Marzeniem jego było zwrócić Luwrowi porwaną Monnę Luizę (Gioconde) Leonarda da Vinci. Czynił w tym celu zachody „u panów złodziei“, lecz napróżno.

Na koszt Morgana powiększono szpital w Ailes-Bains; na jego koszt naprawiono dom rodzinny Corneille'a w Grand-Couronne pod Rodanem; obdarzył francuskie Muzeum przyrodnicze jedną z najpiękniejszych na świecie kolekcji drogiej kamieni, za którą zapłacił wiele milionów, i t. d., i t. d.

Morgan nie popisywał się, jak inni, swemi aktami filantropji; wszędzie, gdzie tylko stopa jego stała, pozostawiał garście złota; ktokolwiek do niego apelował w słusznej sprawie, nie odchodził z kwitkiem, a natomiast bardzo często z sumą kilkakrotnie wyższą od tej, jakiej się domagał; rzucając na prawo i na lewo milionami, nie czynił tego z pobudek owego sławetnego „altruizmu“, pod którego podszewką kryje się najordynarniejszy egoizm, ambicja, żądza reklamy,

którą najłatwiej zdobywa się dziś za pieniądze. Morgan wydawał dziesiątki milionów, o których po za obdarowaną osobą lub instytucją nie wie nikt. Zdawał on sobie doskonale sprawę, że nagromadzona przez niego fortuna pochodzi w pewnej mierze od społeczeństwa, tedy przynajmniej w części starał się zwrócić społeczeństwu to, co od niego wzięł, uważał to za naturalny swój obowiązek. Ponieważ Morgan nie rejestrował wydanych przez siebie sum na cele filantropijne, ani też prasa nie zawsze je notowała, przeto nie sposób określił dokładnej wysokości jego legatów dobroczynnych. Można wszakże z całą pewnością twierdzić, że same jego akty filantropijne pochłonęły conajmniej sumę 200 milionów franków.

Morgan, jako kolekcjoner i mecenas sztuki.

Wiadomo, że wszyscy sybaryci i filistry, parwenjusze i faryzeusze, gdy tylko dochrapią się jako takiej fortuny, wnet stają się „Mecenasami Sztuki“. Co prawda, dziwnie oni sztukę pojmują: kompozycję pornograficzną biorą za arcydzieło sztuki plastycznej, a wyuzdaną operetkę za pełną perfekcji architektonikę sceniczną! Niemniej przecież pokazują się na wszystkich wyprzedających zbiorów artystycznych, posiadają własne „galerje“ obrazów, które imponować chcą Pinakotece i Luwrowi. Ci mecenas „Sztuki“ rozprawiają w salonach na temat swych „aspiracji estetycznych“, ubolewają z rzetelnym wzruszeniem, że skradziono nieśmiertelny twór Lonarda: *Gioconde* i że jakiś wandal podrapał stojącego przed Panteonem *Myśliciela* Rochegrosse'a.

Do tych „mecenasów“ „Sztuki“ Morgan nie należał. Z urodzenia bogacz i purytanin, z wykształcenia matematyk, z zawodu finansista i spekulant najgenjalniejszy z najgenjalniejszych, Morgan potrafił te swoje kwalifikacje łączyć z prawdziwą czułością na nędzę i cierpienia ludzkie i wrażliwością na piękno natury. Wiemy zresztą ze studjów biograficznych nad wielkimi ludźmi, że każdy prawie potężny mózg łączy w sobie cechy nie tylko rozmaite, lecz często wręcz sobie przeciwne. Goethe był przyrodnikiem i poetą, da Vinci malarzem i filozofem, Mickiewicz poetą i uczonym profesorem i t. d. Zresztą w psychice wielkiego człowieka wszystko niejako kompletuje się, wszechświat ze wszystkimi jego tajemnicami i różnorodnościami stanowi integralną w niej całość, tworzy harmonję materialnych i duchowych pierwiastków, harmonję potrzeb intelektualnych i estetycznych.

(d. c. n.)

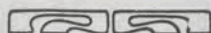
S. Auerbach.





Femina

Z LITERATURY KOBIECEJ.



Emilja Wielowieyska. „*Ku Jutrzni*“. Powieść wyróżniona na konkursie „Bluszczu“. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Barwną wstęgą przesuwają się przed oczami czytelnika galerja typów świata ziemiańskiego, konserwatywnego — typów, przechodzących około życia z uporem manjaków, nie chcących i nie umiejących dojrzeć prądu, który wartką falą pieni się i rwie naprzód — ku jutrzni nowych form, nowych pragnień, a zwłaszcza: budzenia się duszy kobiecej. Ku jutrzni więc rwą się młodzieńcze tęsknoty Różyczki Odrowążanki, tej, która w skarżce głębokiej zamknęła swe pragnienia: „ja nie chcę grać roli panny na wydaniu, ja nie chcę bałi i zabaw. Dajcie mi spokoju trochę *i nauki więcej* — jam przecież jeszcze tak młoda“. Bo w młodość wierzy bohaterka powieści p. Wielowieyskiej wierzy w jej prawa i siły — wie, że wytrwa i dojdzie do celu tak samo jak jej brat, jak jej kuzyn, jak ci wszyscy uprzywilejowani, przed którymi nikt nie zamykał księgi wiedzy — nikt nie podcinał skrzydeł ducha tępym słowem: „ty nie potrzebujesz tego, boś kobieta!“ Autorka odczuwa głęboko krzywdę wyrządzaną przez wieki kobiecie, w tym kierunku wnika w jej pobudki, uderza w dzwon reformy i postępu dla dobra już nie jednostek, ale ogółu, z którego wyjść mają przyszłe matki i wychowawczynie nowego pokolenia. Autorka wierzy w wysoką godność nauki nie dla blichtru, nie dla łatwego poklasku, nawet nie dla egoistycznego szczęścia pojedynczych osobników, ale przyznaje jej rolę odrodzicielki, hartującej pancierzem wiedzy wrażliwe i nadczułe serce kobiety. Więc Różyczka i jej przy-

jaciółka i rówieśnica Maryjka — wywalczają prawo do własnego, wysnionego szczęścia i kształcąc się fachowo, nie przestają być czystymi, nieskażonymi w swej kobiecości dziewczętami — pomimo kilkoletnich studjów w stolicy świata — Paryżu. Zwycięstwo nad matkami — nie mogącemi pojąć tej dziwnej żądzy — wiedzy — zawdzięczają obie panny stryjaskowi Różyczki, p. Józefowi Odrowążowi, człowiekowi, jak francuz określa: *tout d'une pièce*, ślicznej postaci starego szlachcica, idącego za popędem czasu i skłaniającego głowę przed wszystkim co mądre i piękne. Postać ta najsilniej i najplastyczniej wyłania się z kart książki — każdy z nas niemal znał jeśli nie osobiście, to z opowiadań podobne typy, przed którymi w dzieciństwie a i znacznie później chylił głowę ze czcią i miłością. Więc i p. Józef Odrowąż zdobywa sympatję czytelnika i godzi go z „epigonami doby ubiegłej“ z ich zasklepieniem się w czczych uprzedzeniach i przesądach, godzi nawet z tem co ciemne i mętne — bo jest żywym wyrazem przyszłych nadziei, które coraz szersze kręgi zatoczą w naszym społeczeństwie — złączą przeszłość z przyszłością, bez szkody i krzywdy dla jednej lub drugiej.

I wtedy mniej będzie takich typów, jak goniąca za swem niezdecydowanym „ja“, Paola, lub pani Ola Narbuttowa, flirtująca „dla zabicia czasu“ — umysły kobiece stężeją w pracy nad sobą i ocenią stokroć razy lepiej wagę życia i jego obowiązków. Dla swojej tendencji społecznej, dla troski o los młodego pokolenia — powieść pani Wielowieyskiej zasługiwała na wyróżnienie i poleca się wszystkim, którym sprawa kobieca, rozumnie pojęta, nie jest obojętną.

Konstancja Bielska. „Młodsza Lubohradzka“. Powieść. Nakład I. Rzepeckiego. Warszawa. Okładka p. E. Lorentowiczowej.

W ładnej szacie artystycznej, obmyślonej przez znaną artystkę w tym kierunku, p. Ewę Lorentowiczową, ukazała się nakładem młodej a ruchliwej firmy I. Rzepeckiego, w krótkim czasie druga powieść p. Konstancji Bielskiej, autorki „Separatki“. Powieść ta różni się od poprzedniej tonem — pozbawionym wszelkiej tendencji — zasadniczo zaś posiada te same zalety, a więc barwny styl, trafną obserwację, niekiedy po mistrzowsku na papier przelaną, wreszcie ogromną umiejętność w przeprowadzeniu interesującej fabuły. Bohaterka — młodsza Lubohradzka — to typ kobiety uczuciowej, która nie znalazła podstaw dla swej miękkiej kobiecości, nie znalazła oparcia ani w sobie ani dookoła siebie. Bo przecież ani rodzina jej, ani siostra tak bardzo różniąca się charakterem, że nieomal obca, ani mąż, szlachetny, ale lodowato-zimny i jak

oddalona gwiazda srebrne promienie, usypiające i mrozące zsyłający na otoczenie — nie mogli stać się tem czemś, w co podobne Ricie — natu-ry — muszą wierzyć, aby wytrwać i ostać się pokusom zewnętrznym lub wewnętrznym. Sfera uczuciowa nie zaspokojona wśród najbliższych, sfera intelektu, zaniedbana kosztem kadzidel i pieczołowitości, jakich nie szczędzono „powierzchnowości“ pięknej Rity — powiodły ją na manowce sentymentu, na rozdroże, gdzie kończy się lekkomyślność, a czai się już... zbrodnia. Konsekwentnie przeprowadza autorka przez te etapy swą bohaterkę, a na palecie swej ma barwy, które każdy szczegół czynią plastycznym i ciekawym. Jeżeli w samej budowie powieści można zarzucić coś nie coś, jak np. usunięcie prawie kompletne postaci Lubohradzkiej — ciekawie naszkicowanej — to natomiast podnieść należy łatwość, z jaką powieść się czyta i talent w kierunku kreślenia sensacyjnej linii opowiadania.

K. Łozińska.

K R O N I K A .

Prawo o dzieciach nieślubnych.

Dziwnym zbiorem sprzeczności i niejasności, mimo swego wysoce kulturalnego znaczenia, jest nowe prawo rosyjskie o dzieciach nieślubnych, które uzyskało już moc obowiązującą.

Poszukiwanie ojcostwa było dotąd w prawie naszym zabronione. Kodeks zobowiązywał rodziców „naturalnych“ dołożenia na koszty utrzymania dzieci, a nawet przyznawał tymże pewne okrucy spadku. Lecz było to tylko wówczas prawomocne, jeśli ojciec dziecko za swoje uznał (poszukiwanie prawne macierzyństwa było dozwolone). Obecnie ojciec dziecka nieślubnego, nawet gdyby go uznać nie chciał, obowiązany będziełożyć na jego, a w razie

konieczności i matki utrzymać, nadto dzieci nieślubne, również nawet nie uznane, mają prawo do alimentów ze spadku po ojcu pozostającego.

Wszystko to bardzo pięknie — ale pomimo to wszystko ojciec nie może być zmuszonym do uznania dziecka za swoje. Poszukiwanie ojcostwa pozostaje nadal *zabronione!* Zaznaczono to wyraźnie, iż artykuł odosny kodeksu pozostaje bez zmiany!

Faktycznie więc dowieść można ojcu iż dziecko nieślubne jest jego dzieckiem, można zmusić go do płacenia alimentów, uzyskać po zmarłym spadek, a jednocześnie poszukiwanie ojcostwa jest zabronione! Tylko w prawie podobne „kawałki“ są możliwe! Idzie o to, że ojciec może dziecko utrzymać i

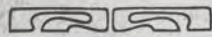
musi nawet, ale nie można zmusić go do formalnego uznania dziecka za swoje — o tę formalność tak chodzi prawodawcom — pomimo, że teraz stanie się ona ostatnio częścią formułką. Przyznanie dziecka naturalnego nie jest bowiem jeszcze pełną adopcją. Co do tej ostatniej nowe prawo wnosi za to pożądane reformy. Dotąd adoptować można było tylko dzieci nominalnie cudze, tylko gdy adoptowany był w wieku lat 50-u ect. Obecnie ograniczenia te zniesiono.

W każdym razie, pomimo wielu braków, nowe prawo lepsza dolę dzieci naturalnych i daje pokrzywdzonym tak często kobietom pewną obronę i opieką oraz zapewnić im materialne.

N. J.



MODA.



AMERYKAŃSKA GRETCHEN.

Od wieków jest wiadomem, że włosy są najpiękniejszą ozdobą piękności kobiecej. Wielu sławnych poetów opiewało złote i krucze sploty. Najwięksi malarze z *Tycjanem* na czele lubowali się w złotych lub kruczych odblaskach włosów kobiecych. Falami po ramionach spływające włosy porównywano z płaszczem królewskim. „Pozwól mi oddychać cudną wonią twych włosów“ mówią zakochani...

Niestety w obecnych czasach prawdziwie piękne obfite włosy stają się co raz to większą osobliwością. Życie współczesne tak bardzo wyczerpujące fizyczny organizm, podniecenie nerwowe będące głównym tego życia motorem — wpływa zabójczo na włosy, które wskutek osłabienia nerwów, i idącej za tem anemii bardzo szybko przepadają.

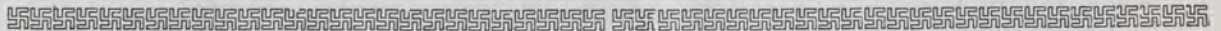


Świat nowy, druga półkula pomimo wybuchowej swej cywilizacji, zachowała jednak u swych przedstawicielek płci pięknej, bujność i wspaniałość włosów kobiecych.

Wpływa zapewne na to cały higieniczny sposób życia Amerykanek. Zahartowanie od wczesnego dzieciństwa, uskuteczniane głównie za pomocą zimnej wody, rozliczne sporty rozwijające siły, zachowujące i broniące przeciw wszelkim nerwowym przypadłościom, bogata krew anglo-saksońska — wszystko to daje pełnię zdrowia, a tem samem piękności we wszelkiej jej przejawach.

Nasza rycina przedstawia prześliczną amerykańską pannę ze wspaniałym warkoczem, jest to bez zaprzeczenia wspaniały typ wszystkich wszechświatowych Grethen.

Marcèle.



BUDŻET TUALETY KOBIECEJ.

Jest to jedna z poważnych społecznych kwestji, daleko poważniejsza jak by się na pozór wydawać mogło. Od umiejętności zastosowania wydatków toaletowych do przeznaczonej na to w ogólnym budżecie wydatków sumy, zależy bezpośrednio cała równowaga spraw domowych. Tu oczywiście najgłówniejszą gra rolę rozum, takt, i rozsądek, poszczególnych kobiecych osobistości.

Co raz to rosnące wymagania i nieprzebrane fantazje mody, są fatalnymi doradczyniami i kusicielkami kobiecej próżności i zalotności, przeciw którym tylko rozum i rozsądek ochronić je może. Układając w miarę materialnej możliwości cały nasz domowy budżet, trze-

ba z największą ścisłością normującą się nieubłaganymi cyframi, zastanowić się i postanowić nieubłaganie sumę, do jakiej nam w wydatkach toaletowych ekscesów w upoważniają, pierwsze bowiem wykroczenia pociąga za sobą cały szereg następstw wytrącających nas z równowagi. Owe tak często powtarzane przez kobiety „Jakoś to będzie — jakoś się to zapłaci“ prowadzą do największej domowej plagi, to jest do długów oplatających nas gęstą siecią, z której tak ciężko się wy dostać.

Budżety toaletowe dzielą się na rozliczne kategorie zawisłe od poszczególnych osobistych dochodów.

Na najwyższym szczeblu bu-

dżetowym stoją wybranki losu kobiety bogate oraz wielkie artystki, zmuszone zawodem do toaletowej elegancji. Jestto oczywiście łatwiejsza od innych, budżetowa sytuacja. Drugie miejsce zajmują kobiety klasy i dochodów średnich, które wymagają już pewnej oględności w wydatkach i ściślejszego rachunku. Trzecia najtrudniejsza sytuacja przypada w udziale kobietom, obciążonym liczną rodziną, posiadającym fundusze skromne a jednak nie pozbawionym chęci jeżeli nie zupełnie eleganckiego, to przynajmniej przyzwoitego toaletowego wyglądu. Jest to cała życiowa sztuka, całe *modus vivendi* trudne do zdobycia i unormowania.

Jako dodatkowy kontyngens występuje cały duży dział kobiet nie zastanawiających się nigdy poważnie ani nad życiowym, ani nad tualutowym budżetem zupełnie nie określonym a więc najbezpieczniejszym.

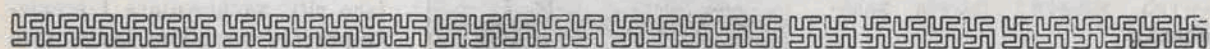
Do tych zasadniczych kwestji w praktycznym ich zastosowaniu powrócę jeszcze nie jednokrotnie w całym szeregu artykułów, które tej ważnej sprawie poświęcić zamierzam.

Nasza rycina daje nam oczywisty dowód, że już przed stu laty kobiety nie liczące się z budżetem znajdowały się również, jak i dzisiaj w wielkich finansowo tualutowych kłopotach.

Marcèle.



Kłopoty budżetowe piękności XVIII wieku.



NAJMODNIEJSZE KOSTJUMY ZIMOWE.



POPULARYZACJA WIEDZY



Z postępów wiedzy i pracy.

Czy Mars ma ludzkich mieszkańców?

zapytywali po tyciąkroć nieprzeliczeni literaci w najfantastyczniejszych opowieściach, a za nimi poważni przyrodnicy, opierając swoje rozumowania na wyliczeniach i możliwościach fizjologicznych.

Większość poetów chce widzieć ludzi na Marsie, zaprzyjaźnia się z nimi i odbywa formalne podróże i wywiady, dzieląc się spostrzeżeniami i opisami z wędrowek w krainy marzeń z chętnymi czytelnikami.

Większość uczonych zaprzecza możliwości istnienia ludzi na dostępnych dla naszych obserwacji planetach systemu słonecznego. Podobną opinię podziela prof. Manuder, kierownik obserwatorium astronomicznego w Greenwich, wypowiadając ją w najnowszej swojej broszurze, poświęconej zamieszkalności ciał niebieskich.

Z liczby rozpatrywanych globów wyklucza Manuder przede wszystkim wszystkie słońca i w tej liczbie nasze, a także księżyc, gdyż tu sama budowa kładzie kres przypuszczeniom.

Dla tego, by można było przypuścić istnienie ludzi na planetach systemu słonecznego, trzeba stwierdzić trzy zasadnicze nieodzownie potrzebne do życia, warunki środowiska: obecność wody, ciśnienia atmosferycznego, uwarunkowanego masą danej planety, oraz — stosunku ciepłoty. Jowisz, Saturn, Uranus i Neptun, gdyby nawet miały wodę, nie posiadałyby życia już choćby dlatego, gdyż masy tych ciał każą przypuszczać istnienie tak wielkiego ciśnienia atmosferycznego, że opierając się na doświadczeniu ziemskim, wykluczałoby ono możliwość bytu organizmów. Wreszcie wpływ słońca byłby dla rozwoju życia zbyt mały, zaś temperatura samych planet, prawdopodobnie płynnych jeszcze, — zbyt wielka.

Manuder pozbawia zaludnienia i planetę

Merkury. Ta planeta w ciągu całego obiegu słonecznego jedną jest stroną zwrócona ku Słońcu; jedna więc jej połowa ma żar wykluczający życie, druga zaś — nadmierny chłód.

Wreszcie tak Wenera, jak i Mars nie odpowiadają, zdaniem autora, warunkom, niezbędnym dla rozwoju życia. Tu na przeszkodzie stoi zarówno zbyt niskie ciśnienie powietrza, jak i zbyt mała przeciętna ciepłota atmosferyczna.

A więc życie ludzkie, według Manudera, uszczęśliwia jedyną tylko Ziemię.

Ale... boć wszędzie jest „ale“! Co zrobić z rzezonym dowodem Preyera, którym uzasadnia ten uczyony swoją teorię Cosmozoenów? Według niego, spadające na ziemię aerolity (ciała międzyplanetarne; to co nazywamy „gwiazdą spadającą“ i jest bolitem, rozsypującym się na pył kosmiczny w chwili zetknięcia się z atmosferą ziemską, przy towarzyszeniu błysku) zawierają niespalony węgiel, naftę — szczątki organiczne. A więc gdzieś, na zawrotnych drogach międzyplanetarnej swojej wędrowki, musiały się z życiem organicznym stykać.

Preyer idzie daleko: przypuszcza, że najpierwsza zaródź ziemskiego życia organicznego przybyła na nasz glob, — niby list w kopercie, wiezionej przez pocztę, zapakowana w aerolicie. I na potwierdzenie swoich mniemań, przytacza długowieczność, sen letargiczny, zupełne wyschnięcie i wytrzymałość na bajecznie wielkie lub niskie temperatury, pospolitych na ziemi bakterji.

Długo zapewne jeszcze, bardzo długo będą się spierali ludziska, o ile któregoś dnia nie ogłosi jaki eksperymentator, zapaleniec i fanatyk wiedzy nowego wynalazku, pozwalającego, bądź przewędrować na inną planetę, bądź też obejrzeć ją tak, ja oczami oglądamy swoją dłoń.

W obliczu przechodzących fantazję wynalazków XX-go wieku wszelkie sceptycyzmy wydają się przechwałką: zapalona, szalona wiara zdaje się raczej zapanowywać i tryumfować:

— Wiara w Człowieka.

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Wykopaliska w Saturni.

„Gazeta Narodowa“ zapowiada rychłe ukazanie się wielkiej monografji, poświęconej znakomitej i nieocenionej wartości

przyrodoznawczej wykopaliskom w Saturni. Kosztowna monografja, dokonana nakładem muzeum im. Dzieduszyckich, da dokładny opis nosorożca, wykopanego na ziemiach polskich, jedyne

okazu w swoim rodzaju. Najbogatsze i największe muzeum świata, t. zw. brytyjskie, nie posiada kawałka nawet skóry takiego nosorożca, gdy lwowskie muzeum ma ten okaz w

całości. Nosorożec wypchany, wielkości podwójnego wołu jest tematem wędrówek i podziwu dla licznych zoologów, którzy ściągają na studia do Lwowa. Muzeum lwowskie używa innym instytucjom fotografii i odlewów gipsowych. Również ciekawym jest wykopany mamut, w którego szczątkach zachowały się nawet ścięgna i skóra.

Monografia obejmuje 49 arkuszy druku i kosztować będzie 20.000 koron. Studja do tego wydawnictwa ofiarowali uczeni bezinteresownie.

Kryształy krwi.

Dawny Grahama podział materji organicznej na dwie grupy: krystalloidów i kolloidów, coraz mniej jasną posiada linję demarkacyjną. Natomiast coraz lepiej są znane i wszechstronnieję ujęte obie grupy, tak krystalloidów, jak i kolloidów. Że hemoglobina, czyli czerwony barwnik krwi zwierząt daje się krystalizować, tworząc geometrycznie zdecydowane postacie stałe, o tem wiadano dość dawno. I o tem wiadano, że istnieje więcej niż jedna, owszem kilka form tych kryształów. W ostatnich czasach dopiero wyjaśnili dwaj badacze amerykańscy Reicher i Brown, że każdy gatunek zwierzęcy daje z hemoglobiny swojej krwi równie odrębne i swoiste kryształy jak różnym jest on sam od wszystkich innych. Do tego zdumiewającego i ciekawego rezultatu doszli wymienieni badacze po zastosowaniu nowych specjalnych metod. Wraz z tem odkryciem nauka otrzymała nowy, niezawodny i prosty środek poznawczy. Systematyk może określić nietylko już gatunek ale i stopień pokrewieństwa, gdyż kryształy tembardziej od siebie się różnią, im tworząca je hemoglobina pochodzi z krwi dalej spokrewnionych zwierząt. Sądownik może po krótkim czasie orzec, na podstawie ekspertyzy, posiłkującej się tą prostą metodą, z jakiego organizmu

(gatunkowo) pochodzi badana krew. A tembardziej jest ta metoda płodną, że określa krew nawet skrzepłą i zadawalnia się ilością nieobliczalnie wprost małą.

Metoda ta nie jest pierwsza. Poprzednie metody Uhlenhuth'a, Schütze'go oraz Grünbaum'a dawały też same rezultaty, lecz na drodze znacznie bardziej zawiłej i przewlekłej. Przytem stanowczo wymagały znacznie większej ilości, choć wystarczała plama zaskrzepłej krwi wagi $\frac{1}{1\,000\,000\,000}$ grama! Kropla krwi, wysączone z palca przy najdrobniejszym skaleczeniu, najzupełniej wystarcza dla poznania gatunku, dzięki nowej metodzie Reicher'a i Brown'a.

Wynalazki Polaków.

Rodak nasz, p. Gustaw Dobek, zamieszkały w Strzemieszycach, dokonał szeregu pożytecznych wynalazków. Szczególniej aktualnym jest jego pomysłu aparat do zatrzymywania, zerwanych przy wjeżdżaniu pod górę, pociągów. Pomysłne próby wykonywa koleją nadwiślańską.

Dwa inne wynalazki, z którymi czynione obecnie są próby, dotyczą węglarstwa. Jeden aparat służy do kontrolowania wózków kopalnianych, wiozących dobytego węgla, inny znów przyrząd — ładuje węgiel do typowych na kolejach rosyjskich, krytych wagonów.

Drugim wynalazcą jest, jak donosi „Dziennik Polski“, Polak, p. P. T. Smólski, który wynalazł sprężynowe koło do samochodu.

W dotychczasowych samochodach niezmiernie kosztownymi są pneumatyki u kół, łatwo ulegające zniszczeniu. Nie mogły być dotąd zamienione przez obręcze z pełnej gumy dla tej przyczyny, że te nie zabezpieczyłyby dostatecznie od nagłych i gwałtownych wstrząśnień.

Wynalazek p. Smólskiego polega na przeniesieniu elastyczności koła z obwodu na oś. W tym celu koło spoczywa na

stalowym mankiecie, nałożonym na oś. Pierścień ten posiada wewnątrz szereg kulek, opartych o mocne stalowe sprężyny. Koło, oprawione w laną gumową obręcz, równomiernie naciska na kulki i na sprężyny, które tłumią wszelkie wstrząśnienia.

P. Smólski odbył 7,000 mil trwającą podróż pomiędzy Chicago i Milwaukee na, swojego typu, automobilu i mógł się chlubić doskonałym stanem obręczy gumowych, na kołach zreformowanych przez siebie.

Geoplan.

Tak nazwał samochód, służący do podróżowania pod ziemią, francuski inżynier Lavacque, wychowaniec Szkoły Centralnej we francuskiej stolicy świata.

W poprzednim numerze dałmy wzmiankę o automobilu, służącym do przebywania pod wodą rzek pozbawionych mostów. Rozwój aeroplanów, podbijających atmosferę, stał się już czemś zwykłym, trzeba więc wynalazku tak bardzo sensacyjnego, jak ostatnie dzieło inżyniera Lavacque'a, ażeby zaintrygować i zaintrygowała opinię współczesną.

Geoplan składa się ze szczelnie zamkniętej kabiny, zaopatrzonej w rotacyjny pług, poruszany siłą 80-okonnego motoru „Gnom“.

Aparat wkopuje się w ziemię przy pomocy owego pługa, wyrzuca ziemię poza sobą i posuwa się w niekamiennej glebie z szybkością piechura, przebywając 4—6 kilometrów na godzinę.

Skondensowane powietrze, wystarczające do oddychania dla dwóch osób na 120 godzin, obok zapasów pożywienia, umożliwia na dłuższą metę ową jedyną w swoim rodzaju krecią wędrówkę.

Inżynier Lavacque odbył w 12-u godzinach podziemną wycieczkę pod przestrzenią między Chambery i Grenoble.

Dr. Wł. R.



LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJAN ORLICZ.

19)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Wybaczenie, że was nie proszę do siebie, ale u mnie dziś duży nieład: niedawno zmieniliśmy pracownię, wziąłem mniejszą i wyżej, bo tamta była za droga; poproszę was innym razem.

Rastler uściskał życzliwie rękę. Patrzył za nim z żalem, aż dopóki nie znikł w bramie dziewiątego numeru.

Ot jeden z tych entuzjastów, co się dają ponieść fali życia. Lecą naoslep i kark kręcą, a szkoda, zdolny i poczciwy chłop.

Żarski długo się wspinał na swoje pięte piętro.

Chciał jak zwykle ułożyć twarz. zanim stanie przed Helą.

Zdawała mu się niezwykle rozstrojona.

Nie chciała się jednak do tego żadną miarą przyznać.

Przed niedawną chwilą odebrała list od Lindnera.

„Rozvodu ci się zachciewa. Niech ci się nie spieszy. Poczekał, aż ci osiwieją włosy, a twój kawaler będzie chodził o kijku. Mnie nie pilno. Mnie dobrze bez ciebie, a ty masz pokarm dla duszy. A masz ty pokarm dla ciała?

Rad z obrotu rzeczy
Lindner.

Poczerwieniała tak, jak gdyby wszystka krew ze sponiewieranego serca na twarz jej wybiegła. List zmięty cisnęła w kominek, a ręce po nim wycierała jak po dotknięciu czegoś lekkiego, plugawego.

Taka gorycz zakłapała w całej jej isto-

cie, że musiała wolę gwałtem ująć w obie ręce, żeby Zdzych nie zmiarkował co się w niej dzieje.

„Trzeba to z siebie strząsnąć.

Nie będzie przecież tego rodzaju sprawami zaprzętać tej biednej, skołataną głowę.

Niech nie wie, że stała się znaczna ryś w walącym się i tak gmachu jej szczęścia tą odmową.

Mężczyzna nie zrozumie nigdy, na ile z cudną poetyczną nazwą „kochanka“ związane jest piętno hańbiącej pozycji, ile się w niej kryje upokarzającej pogardy, poniższej godności.

Zdzych, taki subtelny, a nie zrozumie tego.

I nie trzeba żeby zrozumiał.

Po co? Czy bez tego mało ma zgryzot?

Udawała jak mogła swobodę, ale duch jej upadał znużony.

Gorycz, jak trucizna wsączała jad swój do duszy.

Jakieś zwątpienia, jakieś strachy.

Całą siłą walczyła z tem, mówiła sobie, że to grzech przeciwko Zdzychowi, jednak opanować nie mogła uczucia, że coś dokoła niej się załamuje, rozpada w gruzy.

Roboty ani poświęcić.

Położenie z dniem każdym stawało się cięższe...

Żarski począł robić „kicze“ na wysyłkę do kraju.

„Nie sądź—nie będziesz sądzony“, drezczyło go bezustannie.

Nie wolno człowiekowi powiedzieć „nie zrobiłbym“. Zrobi wszystko jak na nim legnie twarda pięść życia, tembardziej jeśli ta pięść grozi opaść na ukochaną głowę.

On, co tak urągał na kompromisy ze sztuką, jakżeż byłby szczęśliwy, gdyby te kompromisy pozwoliły mu zarobić na kawałek chleba.

Prawdą jest wielką, że jak mówi Joly: nie ma odstępstwa od normalnych uczuć, nie ma namiętności, nałogu, zboczenia, któ-

rych ziarno nie ukrywałoby się w duszy każdego człowieka.

Biada jeśli się w to wda jeszcze nieublagany imperatyw: Mus.

XIII.

Zima przedwczesna, a niebywale jakby na przekór ostra, była w całej pełni.

Paryż nie widział dotąd nigdy takiej gołoledzi, takiej masy śniegu.

Tym, co patrzyli na świat z okien swych ciepłych salonów, lub przez szyby szczelnie zamkniętej karety, miłem być mogło to niezwykle zjawisko.

Ich znudzonym duszom, ta biała symfonia, nową dawała emocję.

Na przerażoną duszę Heli, każda z tych roziskrzonych gwiazdeczek, baltazarową spadała głoską.

Życie z dniem każdym stawało się cięższe.

Trzeba było kłaść się wcześniej, żeby ogrzać skostniałe członki, przy tem oszczędzić trochę światła, żeby zagłuszyć głód.

Bywały w ciągu dnia godziny tępego bezwładu myśli, gdzie jedno do drugiego nie przemówiło słowa.

A nie były to jak dawniej chwile milczenia, dyszące pełnią wezbranego uczucia, ale jakieś rozlewanie mózgu, wciąż omotanego żrącym niepokojem o jutro.

Kochali się niezmiennie; ale troska wypiła wszystek haszysz upojeń.

Hela po długiej walce z sobą, zdecydowała się w tajemnicy przed nim, poprosić ciotkę o pomoc.

Przypuszczała, że może zainteresuje się jej losem, że kobieta zamożna nie zadowolili się dorywczą pomocą, ale pomyśli o czemś stałem, miesięcznem.

Tak się zawsze kochały.

Tymczasem przysłano jej sto rubli, w liście zastrzegającym zerwanie wszelkich stosunków.

Żeby już o niej nie słyszeć więcej!

Odsunęła banknoty z oburzeniem.

„Odeśle jutro. Zaraz z rana. Na pewno odeśle.

„Jakie to życie nielitościwe — rozmyślała z goryczą — cożem mu zawiniła, że się nademną tak znęca bez miłosierdzia. Dobrze mówił Zdzich, że opinja, to sprzedaj-

na ladacznica. Gdybym w moich salonach przyjmowała kochanka, a miała parawan z męża, kłaniałaby mi się w pas. Dla możnych, szczęśliwych, ma tylko hołdy; biednym, cierpiącym, niesie tylko upokorzenie. Co za fałszywa logika, jaka przewrotna; żyć w trójkacie, w ciągłym kłamstwie, byle ostrożnie, opinja przymknie oczy. Ale pójsz za nakazem serca, wtedy kiedy ono krzykiem wyzwoleniczym upomni się o swoje prawa... wara.

Ta ciotka, jedyna krewna...

Rzuciła ochłap zdawkowej litości... odczepne...

Och, odeśle, bodaj z głodu umrzeć, odeśle.

Kiedy jednak pomyślała, że ten biedny Zdzich dygoce w letnim paltociku, że nie ma węgla — och te okropne ranki w nieogrzejanej pracowni — że mu ręce jak kołki grabieją przy stalugach, poczęła powoli przysuwać pakiecik, aż w końcu schowała go przed nim. Jakoś mu to wytłomaczy, a tymczasem... Kompromisy, same kompromisy...

Minęły nareszcie miesiące twardej, męczącej zimy.

Śniegi i słoty ustąpiły miejsca ciepłym podmuchom, zapowiedzi bliskiej wiosny.

Im to jednak żadnej nie przyniosło pociechy.

Długi wciąż rosły.

Jeśli się co sprzedawało za kilkanaście, a bywało nawet i za kilka franków, to starczyło zaledwie na częściowe spłacenie piekarza lub rzeźnika.

Z przyzwoitego urzędnika pracowni, pozostał zaledwie „sommier”, dwie pary stalug, parę krzesel i stolik.

Żarskiemu opadały ręce.

Kiedy na niego nie patrzyła, potrafił przed stalugami przesiedzieć godzinami bez ruchu, bez woli.

Co począć?

Ani cienia widoku.

Ani promyka nadziei.

Gdzie się obrócić — ciemnia i pustka.

W kraju nie znalazł się nikt, coby się zajął sprzedażą jego „kiczów”. Tu, dał ich sporo koledze amerykańskiemu: praktyczny „yankes” rzucił pendzel a wziął się do sprzedaży obrazów.

Tłomaczył wciąż Żarskiemu, że „na to

trzeba czasu; bywa nie ruszy się nie okrągły rok a naraz wszystko się sprzeda.

„Trzeba czasu, a tu nie ma na chleb.

Sterczał właśnie przed stalugami z uczuciem tepej bezsily, kiedy za drzwiami posłyszal kroki Heli.

Porwał za pendzel udajac, ze maluje.

Weszla, ciagnac za soba ciezka siatke z prowizja.

Zdalo sie, ze juz krokiem nie bylaby w stanie postapic dalej.

Wracala z dosc oddalonej hali biedakow, gdzie na zakupach mogla robic groszowe oszczednosci.

Jej alabastrowa twarz, sina byla od przemeczenia w cudnych wlosach zwinietych byle jak, juz nie igraly „sloneczne refleksy“.

Wzial jej worek z reki i dyszacej podsunal krzeslo. Ze zle tajonym bolom, przygladal sie tej zmianie. To juz ani jego „Wiosna“ ani „Marzenie“, tylko jakaś mizerota...

Chcialby jej upasc do nog, ucalowac te biedne zmeczone stopy, ale sie bal, ze nie wytrzyma i ryknie placzem.

— Patrz Helu, jaka ty niedobra, tak zawsze prosze, zebyś mi z dolu dala umowiony znak a tyś znów na gore przydzwigala sama. Bdziesz tak dlugo harowala, az mi sie rozchorujesz.

— Nic mi nie bedzie.

Odpoczela chwile, potem zapasala fartuch, wyjela z siatki kartofle, wloszczyzne, ochlapiek miesa, rozpalila w kominku ogien, ustawila na dynarku garnek i siadla na stoleczku przed ogniem, obierajac kartofle.

Chociaz juz miala czas przywyknac, robila to tak niezgrabnie swoimi wysmuklymi paluszkami, ze serce sie krajalo patrzec na te jej robote.

Żarski zbudzil sie z ciezkiej zadumy.

— Helu...

— Co kochanie?

— Bardzo zmeczona?

— Alez ja wcale nie jestem zmeczona.

— Kiedy cie widze tak we dwoje zgieta w upal, przy ogniu, cos sie we mnie rwie, lamie, nie moge pracowac.

— Jakbyś nie pracowal, moze byc jeszcze gorzej. Jednakze jak cos jest, ma sie nadzieje sprzedac nie dzis to jutro. Bo... widzisz Zdzisiu, ja mam wszystkiego juz tylko sześć franków.

Porwał się za głowę.

— Com ja wart! com ja zrobil! jakie ja mialem prawo przywiazac cie do mej taczki.

— Prawo mojego ukochania. Trudno jest byc wesoła, ale wierz mi Zdzichu, ze ja sie czuje zupełnie szczesliwa.

— Nie lada szczescie takimi porcelanowymi rączkami kucharowac w kominku pracowni, zlamana we dwoje.

— Ale wszak to dla ciebie, dla mojego Zdzicha, dla mojego orlatka.

— Gdybyś rzeczywiscie dla mnie cos zrobic chciala, zyloby sie suchem, a nie gotowalabyś sama.

— No, ale powiedz, cobym robila przez caly dzien Bozy.

— Żartujesz chyba. Czyz to zajecie dla ciebie. Marzyłem ja o kominku, ale nie tak, nie tak.

— A ja cie upewniam, ze mi nigdy tak dobrze nie bylo.

— Tak, a te ciagle klopoty, ta troska o kawalek chleba. Nawet ci sie juz nie chce nazywac mie: Sław.

— To tylko zapomnienie. A zem nie znala trosk — alem, tez nie znala i slodyczy.

— Piękne slodycze—pomyśleć: mam wszystkiego sześć franków. A zkad wziac? Skad? Mój Boze takim jak ja, nie wyrobionym zyciowo, nie wolno drugiego zycia brać na swoja odpowiedzialnosc. Myslam, wyjezdzajac z tymi marnymi kilkuset rublami, ze swiat zdobede. Mieliśmy przez zycie isc jak w bajce.

-- Alez co ty wyprawiasz. Zdobedziesz jeszcze zdobedziesz, mój ty drogi dzieciaku.

— Takaś dzis mizerna. Masz malo powietrza. Wiesz co, zejdz ze mna po sniadanie na bulwary, przejdiesz sie.

Spojrzala zmieszana.

— Nie Zdzisiu, nie zejde.

— Dla czego nie chcesz?

— A bo, widzisz, umyslne dzis zakupilam na pare dni, zeby nie schodzil, bo... buciki mi sie zupełnie zdarly.

— O, ja nedzny! stokro nedzny! Powinienbym sobie w leb palnac, zeby cie uwolnic od siebie.

— A tobyś mi zrobil przysluge. To tak mi pomagasz znosic biede? Mlodziemy—prze-trzymamy. Jak tylko bedziesz mogl wystawic twój „Smutek“ zobaczysz, jak sie sypna zamowienia.

Załamał ręce.

— Ja już zupełnie straciłem nadzieję. Mnie samemu bieda nie straszna. Ale ty... wyrwałem cię z dobrobytu, z komfortu, a ot co ci daję.

Rozpaczonym ruchem ręki wskazał na nędzną, pustą prawie pracownię.

Objęła go za szyję.

— Dajesz mi siebie, a ja ci za to dam... potau feu...

— Ach ty biedna, słodka ptaszyno.

— Nie stękałbyś nademną, nie kwękał, ale byś mi lepiej pomógł.

Zerwał się ze stolka.

— Co każesz?

— Nic nie każę, tylko proszę, żeby mój pan zechciał wydobyć nasze rodowe srebra, kryształy, porcelanę i nakrył do stołu.

— Prawdziwie, mógłby kto pomyśleć, że ci wesoło na duszy.

Podszedł do placard'u, wyjął parę dwusosowych talerzy, nóż czarny i dwa żelazne widelce, nakrył stół starym „Journal'em“ i ustawił na nim nakrycia.

Hela nalała zupę, wyjęła z garnka kawałek mięsa, przekroiła i włożyła w talerze. Odsunął swój talerz.

— Jużes znowu wzięła mniej dla siebie. Mnie i tak w gardło nie lezie... Gdybym choć potrafił cię zastąpić.

— A naturalnie, tybys prowadził gospodarstwo, a ja bym co robiła? Mogę się zresztą zgodzić na to, ale musisz mi sprawić parę koronkowych matinek do szyku, kuszetkę do wylegiwania się no i koniecznie w dodatku, jakiś miły flircik.

Nie Zdziechu, dość ja już miałam roli lalki salonowej. Ja i tak przemyśliwam ciągle, do czego by się wziąć, żeby tobie lżej było. Ciągle o tem myślę. Może lekcje, może jakieś tłumaczenia, może wreszcie miejsce w jakimś sklepie.

Roześmiał się gorzko.

— No tak, będziesz ważyła pieprz, albo zawijała jarzyny burżujkom paryskim.

— A chociażby... korona mi z głowy nie spadnie. Jakżeż można być tak zgorzkniałym. Przecież świat nie ginie. Oboje razem nie mamy jeszcze pięćdziesięciu lat i żeby tak zwątpić. Jak i ja się do czegoś wezmę...

— Nie dziecko, nie potom cię brał. Wiesz, czasem jestem tak daleki od rzeczywistości, że mi się to wszystko wydaje ciężkim snem tylko. Przecież niepodobna, że-

bym tej, którejbym pragnął dać szczęście kosztem własnego życia, zgotował taką dołę, Ha, pójdę dziś znowu do kolegi Kobleuza może być, że jednakże...

— Poczekalbyś jeszcze. Wiem, co cię kosztuje tak się uprzykrzać.

— O, o mnie mniejsza; może tam co sprzedał swojemu „yankesowi“. Tylko mi się tu nie niepokój, wiesz ile potrzeba czasu, stąd na Montmartre.

— Jakto? To ty myślisz iść pieszo?

— A naturalnie. Gdzieżbym tam na tramwaj wydawał.

— Za nic nie pozwolę, za nic:—wcisnęła mu w rękę franka.

— Dobrze, biorę, jeśli co sprzedam wrócić tramwajem.

— Nie, nie, w każdym razie, pojedziesz tam i z powrotem.

— Ależ to upór z twojej strony. Dziś będę rozjeżdżał tramwajami, a jutro, zawieszę zęby na kołku.

— To mi wszystko jedno i tak mi się dosyć zdzierasz.

— Dobrze już, dobrze. A co tu przez ten czas będzie moja ptaszyna robiła?

— Najprzód muszę zmyć statki.

— Jakżeż mogłem zapomnieć, masz zajęcie i to wcale nawet, mile, i potem prawdopodobnie znajdzie się coś równie miłego.

— A idźże już, idź nudziarzu.

Pocałował ją w głowę i wyszedł.

Prawie zaraz po jego wyjściu, na Paryż zeszła nagle nieprzebite gęsta mgła.

Całun ciężki szaro zgniły, naraz przywalił sobą struchlały świat.

Zwoje jego, zieją dusznym odorem siarki, dymu i umarłego liścia kładą się na piersi gniotącym ciężarem.

Na daszku za oknem, takie tego legły zwały, że zupełnie zaciemniły pracownię.

(d. c. n.)



Powieść o dwóch mężach wodnych i jednym młynarzu.

Z podań łużyckich.

Młynarz i kłaj i śmiał się razem, tak mu się to pociesznem wydało. Od tego czasu jednak koło za każdym razem zamykał, aby mu głupi Nykus nie podpałił młyna, ponieważ młyn nie zamknięty zgorzeć może.

W końcu Nykus tak się oswoił, że często wieczorem przychodził do młyna i wszedłszy do izby, mówił: „Dobry wieczór, młynarzu!“ Zazwyczaj przynosił ze sobą worek z rybami i w kociołku młynarza gotował. Młynarza wprawdzie te wieczne pożyczki gniewały, jednak trochę się bał odmówić Nykusowi. Ale raz coś się takiego zdarzyło, co na zawsze Nykusa wystraszyło z młyna.

Przyszedł wieczorem niedźwiedź z niedźwiedziami i nocował u młynarza, ponieważ był to jego dobry znajomy. Niedźwiedź, nauczony chodzić na tylnych łapach i tańcować — z czego tłum jarmarczny miał zawsze ucielesne widowisko — nosił zazwyczaj na noc na pysku kaganiec, kwoli większego bezpieczeństwa.

Skoro nadeszła noc a wszyscy w młynie spać się pokładli po wieczerzy, niedźwiedziowi nagle się zdało, że ktoś idzie przez młynicę, zdjął tedy kaganiec z pyska swojego niedźwiedzia, a sam zajrzał co się dzieje. Zobaczył jak mały człowieczek, cały ubrany zielono, jeno w czapeczce czerwonej na głowie, rozniecił ogień na ognisku i począł krajać ryby, które wrzucał do kociołka a następnie wyjmował je warząchwą. Był to Nykus. Niedźwiedź, który go wcale nie znał, przyglądał się ciekawie owemu stworzeniu, które patrzyło w ognisko swojemi rybiemi oczyma i uśmiechało się do siebie, skoro ryby w kociołku bulgotać poczynały. Dziwnie mu się i straszno trochę uczyniło, bo poznał, że gość to był od którego lepiej trzymać się zdaleka i pojąć też nie mógł jego spoufalenia się z młynarzem.

Ale niedźwiedź, który nie czuł żadnego strachu przed Nykusem, usłyszawszy że w kociołku ryby bulgoczą, począł wietrzyć, im głośniej w kociołku bulgotało, tem on bardziej wietrzył, aż w końcu wstał i podszedł do ogniska. Przez chwilę zaglądał do kociołka ciekawie, poczem wsadził łapę, wyciągnął rybę za ogon i włożył do gęby. Nykus machnął warząchwą i zakrzeczał: „Kocisko idź precz, bo dam ci po łapie!“ Niedźwiedź jednak wcale się tego nie zląkł i wziął drugą rybę z kociołka. Nykus warząchwą uderzył go po łapie. Wówczas niedźwiedź rozgniewany rzucił się nań i począł gryźć i draapać. Nykus ze strachu zaczął wrzeszczeć i dopoty się darł, aż nadbiegł niedźwiedź wraz z młynarzem i odpędzili niedźwiedzia. Biedny

Nykus, pokąsany i podrapany wskoczył co tchu do wody.

Nazajutrz wieczorem młynarz siedział wraz z rodziną przy wieczerzy, aż tu drzwi otworzyła się cichutko i ostrożnie, a z poza nich wyrzała podrapana głowa Nykusa, który zamiast, jak zwykle, pozdrowić młynarza, zapytał półgłosem:

— Młynarzu, czy wasza kotka w domu?

Młynarz, niosąc łyżkę do ust i uśmiechając się pod wąsem, odparł spokojnie:

— W domu, ma dziewięcioro młodych.

Nykus trzasnął drzwiami i zawołał:

— Już nigdy do was nie przyjdę!

Jakoż w istocie nie pokazał się więcej w młynie.

Jednakże przyjaźń jego z Przemionkiem nic na tem nie straciła. Chłopak coraz bardziej zapominał mowy ludzkiej i od wiosny aż do chłódów jesiennych nie pokazywał się w młynie. Miał już lat dwanaście a zawsze był mały, choć dziwnie silnie i krzepki. Z matką tylko czasami rozmawiał, ale to tylko wtedy, gdy ich nikt nie słyszał. Za to z Nykusem coraz bardziej się żywał i stali się w końcu omal nierozłącznymi towarzyszami.

Ale wkrótce nastąpiły nowe, zupełnie nieoczekiwane wydarzenia.

Razu jednego, gdy Przemionek siedział nad rzeką i według swego zwyczaju wpatrywał się w wodę, nadjechał jakiś nieznajomy jeździec i zsiadłszy z konia, kazał go chłopcu potrzymać. Był on dużego wzrostu, czarny a ubranie miał czerwone jak płomień. Oczy jego błyszczały stalowym połyskiem i często zmieniały barwę, w oczach tych był jakiś groźny i niepokojący wyraz. Gdy stanął nad rzeką, woda zaczęła się marszczyć i naraz pociemiała jak przed burzą. Nagle zapytał chłopca, a wzrok jego był tak rozkazujący, że trudno mu było się oprzeć:

— Był tu Nykus?

— Był niedawno, ale odszedł do wody, — wybełkotał chłopiec, a serce mu ścisnęło jakieś niedobre przecucie.

— Czekał tu na mnie z koniem i nie^oważ się odejść aż powrócę, — rzekł nieznajomy, przesywając go swym wzrokiem błyszczącym, poczem znikł w gęstwinie nadwodnej.

Minęło z pół godziny, aż wreszcie szuware odchyliły się ostrożnie i wyszedł z nich Nykus, rozglądając się dokoła. Ujrawszy chłopca, podszedł do niego i rzekł spiesźnie głosem przyciszonym i zdyszczanym:

— Przybył tu Wodnik, mój wróg i chce mię wypędzić z tego miejsca, muszę z nim walczyć o siedzibę. Patrz tedy w wodną głębię: jeżeli na fale krew wystąpi, to będzie ze mną źle, jeśli zaś białe bąble, to znaczy że ja zwyciężyłem tamtego. — To powiedziawszy, wskoczył do wody.

Długo chłopak stał na brzegu rzeki, wyczekując z koniem, spoglądając z niepokojem w głębinę wodną. Nadeszły czarne chmury, nad wodą ściemniać się i błyskać poczęło; sitowia i wierzby szumiały głucho, a w lesie coś jakby potrzykroć zajęczało.

Aż nagle w jednym miejscu woda podniosła się do góry słupem a potem wystąpiły na niej krwawe pręgi. Chłopak domyślił się tedy, że jego przyjaciel już nie żył. Ze strachu zaczął dygotać, lecz nie śmiał konia puścić i uciekać, gdzie go oczy poniosą, bo bał się człowieka w czerwonym ubraniu.

Ciemno już było zupełnie, gdy ów czerwony człowiek nagle wyskoczył z wody w tem samym miejscu, gdzie słup się podniósł; trzymał w ręku gołą szablę, z której jeszcze krew się sączyła i zawołałszy:

— Już go zabiłem! — wskoczył na konia. Odjeżdżając, ofiarował za potrzymanie osiem groszy chłopcu, który nie śmiał odmówić ich przyjęcia.

Odtąd groźny Wodnik rozgospodarował się w rzece na miejscu Nykusa, którego już więcej tu nie widziano.

Inne czasy nastąpiły. Wodnik co parę miesięcy wymagał od młynarza czegoś żywego; inaczej woda wzbierała, przerywała groble i tamy i dużo szkód czyniła. Młynarz tedy dla spokoju od czasu do czasu coś żywego rzucał do rzeki: to kure, to psa, to kota — a potem już na parę miesięcy był spokojny.

Nastąpiły pierwsze roztopy wiosenne; woda dokoła młyna wezbrana huczała i była czarna jak atrament, a biała piana świeciła złowrogo na jej powierzchni.

Parobek rzekł raz wieczorem do młynarza:

— Zapomnieliście w tym roku coś żywego ofiarować rzece, toć nie dziw, że się tak sroży, jeszcze gotowa młyn unieść ze sobą.

Młynarz nic nie odrzekł na to, jeno spoj rzał jakoś dziwnie na Przemionka, który jak zwykle, na zimę powrócił do młyna i siedział skulony w kącie, patrząc w wodę, która coraz bardziej wzbierała.

Wołano do wieczery; parobek spóźnił się i przyszedł do izby, gdy już wszyscy siedzieli za stołem, jeno Przemionek został w swym kącie jak zawsze i matka dopiero później ukradkiem zanosila mu trochę jadła w garczku. Parobek miał twarz nieco zmienioną i rzekł:

— Wyście tu wszyscy w izbie, a tam jednak ktoś siedzi na żłobie, ktoś w czerwonym ubraniu...

Na to młynarz odrzekł:

— No, wiemy jaki czas nastał.

Po wieczery rzekł do żony:

— Zamknij izbę, by żadne z dzieci z domu nie wybiegło.

Żona naczynia ze stołu uprzątnęła i myła i wyszedł jej z pamięci Przemionek, który pozostał w swoim kącie za młynicą.

Aż tu nagle parobek zawołał:

— Jezus, Marja! Chłopak jest w rzece, na żłobie!

Wybiegli, szukali, ale nigdzie nie znaleziono Przemionka. Matka bardzo płakała, a młynarz rzekł, machnąwszy ręką:

— Gdy go już czart zabrał, niech go sobie trzyma!

Przybór wody natychmiast zaczął ustępować i do rana niebezpieczeństwo powodzi minęło go zupełnie.

Gdy ranek zajaśniał, rzeka rozbiłyła w promieniach słońca, spokojnie tocząc swe zielonawe fale, ale na jej powierzchni nie było ani śladu Przemionka.

Młynarka odtąd wciąż chodziła nad wieczorem z biegiem rzeki, śledząc okiem powierzchni wody, jak gdyby spodziewał się ujrzeć tam swoje zaginione dziecko. Lecz daremnie wpatrywała się w głębinę; czasem tylko ryba plusnęła i znów się skryła pod wodę, czasem tylko perłowe bryzgi fal rzecznych padały jej do stóp, wynosząc na piasek trochę wodorosli.

Raz kiedy tak o zmierzchu błądziła nad rzeką, wołając półgłosem syna, sitowia nadbrzeżne rozchyliły się nagle i wyszedł z nich zielonowłosy mąż, w połowie okryty wodorostami. Zaczął na nią kiwać zdala palcem, a gdy podeszła, rzekł głosem skrzeczącym:

— Żona Wodnika, mojego pana, spodziewa się słabości, kazał mi poszukać jakiej kobiety, któraby jej mogła pomóc w owej godzinie. Widziałem cię często, jak się kręcisz tu nad wodą, rzekłem sobie tedy, że najlepiejby było ciebie poprosić... Pan mój, Wodnik, nie zaniedba wynagrodzić cię przystojnie.

— Kiedyż mam pójść z tobą? — spytała młynarka, której błysnęła myśl, że może tam, u Wodnika dowie się, co się stało z jej synem.

— Jutro w samo południe przyjdź na to samo miejsce, a ja cię zaprowadzę do siedziby Wodnika.

Nazajutrz, wedle umowy, młynarka przysłała na to samo miejsce w południe. Cicho było dokoła i pusto; nagle sitowie zakolysało się i wyszedł z niego ten sam mąż wodny. Uderzył w powierzchnię rzeki pięcikiem, który w ręku trzymał i natychmiast toń wodna rozstała się na obie strony.

— Pójdź! — rzekł do młynarki.

Ta poszła za nim bez obawy na dno rzeki. Widziała z obu stron dwie zielonawe ściany wodne, stopy jej tonęły w wodorostach; po obu brzegach dróżki, którą szli, rosła piękna rogozina; białe lilje wodne i złociste grzebienie unosiły się lekko na powierzchni wody. Całe stada ryb płynęły za nimi, nie okazując najmniejszej obawy, aż wreszcie przyszedli do pałacu Wodnika. Był on cały zbudowany z błyszczącej miki, tak że wydawał się jak z lodu, gzemy były przyozdobione muszlami i kryształami, przez warstwę wód przesączało się jakieś zielonawe światło, tak że wszędzie panował łagodny półmrok.

(d. c. n.)



Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Jeśli twój mąż złożył pierwszy pocałunek na tem białem czole, — odparł Ferragus, — ja przed nim złożyłem na niem moje łyzy... Uspokój się, Klementyno; mów otwarcie. Powiedz wszystko, co leży ci na sercu. Kocham cię dość na to, by cieszyć się twojem szczęściem i myśleć tylko o tobie; wiem, że ojciec zajmuje w twojem sercu bardzo mało miejsca, bo myślisz tylko o nim.

— Ach, nie mów tak, mój ojczel. Codzien kocham cię bardziej i wydaje mi się, że okradam Juljusza. Ale pomyśl, kochany ojczel, w jakiej on jest rozpacz. Co mu powiem za dwie godziny?

— Dziecko drogie, alboż czekałem na twój list, żeby odwrócić grożące ci niebezpieczeństwo? Czy nie wiesz, jaki los spotyka tych, którzy osmielią się zakłócić twoje szczęście lub stanąć nam na zawadzie? Czyś nigdy nie odczuła tej drugiej Opatrzności, która czuwała nad tobą? Nie wiesz, że dwunastu ludzi, pełnych sił i inteligencji, tworzy dokoła ciebie orszak, gotowy na wszystko, byle cię obronić? Wszakże twój ojciec tylekroć narażał życie, ukazując się na spacerach, gdzie spodziewał się ujrzeć cię, lub przychodząc do twej matki w nocy, aby nacieszyć się widokiem twoim, kiedy byłaś jeszcze w kolebce. Wszak tylko wspomnienie twych dziecięcych pieszczot kazało żyć twojemu ojcu w warunkach, w których człowiek honoru ginie, aby uniknąć hańby. Czy sądzisz, że ja, który dla ciebie tylko żyję, który patrzę twemi oczami, czuję twojem sercem, nie potrafię szponami lwa a duszą ojca obronić mojego jedynego skarbu, mego życia, mej córki?.. Ależ od śmierci tego anioła słodczy, twojej matki, o jednym tylko szczęściu marzyłem: o chwili, gdy będę mógł uznać cię za córkę, wziąć w ramiona wobec niebios i ziemi, a nikt nie będzie wiedział, że są to ramiona galernika... (w tem miejscu nastąpiła krótka przerwa). O tem tylko myślałem, żeby dać ci ojca, — ciągnął po chwili dalej, — który bez wstydu mógłby ścisnąć rękę twego męża, żyć bez obaw w waszych sercach, móżdż powiedzieć wszystkim: „oto moje dziecko!...“ Być otwarcie i jawnie twym ojcem!

— Ach, mój ojczel, mój ojczel!

— Po wielu trudach, przeszukawszy cały świat, — mówił Ferragus w dalszym ciągu, — przyjaciele moi znaleźli dla mnie skórę, którą będę mógł przywdziać. Za kilka dni będę panem de Funcal, hrabią portugalskim. Tak moje dziecko, nie każdy w moim wieku miałby cierpliwość uczyć się języków: angielskiego i portugalskiego, które ten przeklęty marynarz znał doskonale.

— Drogi mój ojczel!

— Przewidzieliśmy wszystko i za kilka dni jego królewska mość, Jan VI, król portugalski, stanie się mym współnikiem. A więc uzbrój się w trochę cierpliwości, pamiętaj, że twój ojciec musiał mieć cierpliwości tak wiele. Choć nie chwalebę się tem. Bo i czegoż nie zrobiłbym, aby wynagrodzić ci to poświęcenie, które trwa od trzech lat! Przychodź codzień, codzień pocieszając starego ojca, narażając swe szczęście!

— Mój ojczel!

I Klementyna ucałowała z czcią rękę Ferragusa.

— Błagam cię, droga Klementyno, jeszcze trochę odwagi. Zachowujmy do końca nie-szczęśny sekret. Wiem, że Juljusz nie jest człowiekiem przeciętnym. A jednak, czyż można ręczyć, czy jego wielki charakter i bezgraniczna miłość nie wywołają pewnej pogardy względem córki zbrod...
— Och, — krzyknęła Klementyna, — mój ojczel, jakże ty dobrze czytasz w sercu twojej córki. To moja jedyna obawa, — dodała zbolalym głosem. Ta myśl mrozi mi krew w żyłach. Ale pamiętaj o mojem przyrzeczeniu. Co powiem mu za dwie godziny?

— Trzeba, moje najdroższe dziecko, żebyś posłała go do ambasady portugalskiej i kazała mu zobaczyć się z hrabią de Funcal, twoim ojcem. Będę tam.

— A przecież baron de Maulincour mówił mi o Ferragusie? Mój Boże, mój Boże! więc znów muszę okłamywać go! Co za męka!

— Rozumiem cię zbyt dobrze. Ale cóż robić? Za parę dni nie będzie już na ziemi nikogo, ktoby mógł mnie zdemaskować. A i w obecnej chwili baron de Maulincour już nie jest z pewnością zdolny przypomnieć sobie cośkolwiek... No daj spokój dzieciaku. Otrzyj łyzy i pomyśl...

W tej chwili w pokoju, w którym znajdował się Juljusz Demarets, rozległ się straszliwy krzyk:

— Moja córka! Moja biedna córka!..

Krzyk ten, przedostawszy się przez otwór zrobiony w syfście nad szafą, przeraził Ferragusa i panią Juljuszową.

— Idź, Klementyno. Zobacz co się stało.

Klementyna szybko zbiegła po schodach do sąsiedniego pokoju, znalazła drzwi od mieszkania pani Gruget otwarte, usłyszała krzyki, dochodzące z trzeciego piętra, wbiegła po schodach, weszła, słysząc łkania, aż do nieszczęsnego pokoju, z którego, nim jeszcze weszła tam, dobiegły uszu jej następujące słowa:

— To pan, to pan przez swoje pomysły zabił moją nieszczęśliwą córkę.

— Ależ milczcież, przeklęta babo, — mówił Juljusz, zakrywając chustką usta staruszki, która poczęła krzyżeć:

— Na pomoc! Zbój! Morduje!

W tej chwili weszła Klementyna, a ujrawszy męża, przeraźliwie krzyknęła i wybiegła z mieszkania.

— Kto teraz uratuje moją córkę? — Spytała po chwili milczenia matka Idy. — To pan ją zabił!

— W jaki sposób? — spytał bezmyślnie Juljusz, przerażony tem, że żona zobaczyła go tutaj.

— Niech pan czyta, — krzyknęła staruszka, tonąc we łzach. — Jaka renta może mnie teraz pocieszyć?

I podała mu list, który brzmiał:

„Żegnaj moja matko! zapisóje ci co mam. Przepraszam cie za wszystkie winy i za te ostatnie zmartwienie coci robie, bo sie zabijam. Henryk kturego kocham wiecej nisz siebie samom powiedzial mi rze jezdem jego niesceńscjem i rze otypha mnie na zafsze. Wienc ja utopie sie. Ale nie f paryżu tylko w Neuilly, bo nie chce rzeby wystawjono mnie tu f trupjarni. Jerzeli Henryk nie znienawidzi mnie po smjerci, to poproz go rzeby pohował bjednom dziewczynne, ktorej serce biło tylko dlaniego i niech mi pszebacy, bo wje, rze jestem winna i nie trzeba mi było mieszaćsie do nieswoih spraf. Kup mu opatrunki. Jak on cierpjał, bjedny kotek. Ale znajde odwagie zabićsie, tak jak on mjał odwagie palić sobje ciało. Kasz odnieś skończone gorsety do klyjentek. I mudl sie za dusze tfojej curki.

„Ida“.

— Niech pani zanie sie ten list panu de Funcal, który tam leży. Jeżeli jeszcze czas, to on jeden tylko może uratować paniną córkę.

I Juljusz znikł, uciekając jak gdyby popełnił zbrodnię. Nogi uginały się pod nim. Rozszerzone serce wzbierało krwią gorętszą i żywszą, niż kiedykolwiek. w ciągu całego życia. W mózgu kłębiły się najrozmaitsze myśli, lecz jedna górowała nad wszystkimi. Okazał nieufność i podszedł istotę, którą ubóstwiał. Nie mógł zagłuszyć głosu sumienia, który potężniał w tym samym stosunku, w jakim potężniała

w niem poprzednio rozpacz, podczas okrutnych chwil przeżytych w ciągu ostatnich paru dni. Długo wahał się po Paryżu, nie mając odwagi wrócić do domu i spojrzeć żonie w oczy. Jako człowiek honoru drżał na myśl, że będzie zmuszony spotykać się z wyniosłym czołem swej tak ciężko skrzywdzonej żony. Rozmiary zbrodni są ściśle uzależnione od stopnia czystości sumienia. To co dla jednego serca jest dobrem przewinieniem, to samo dla duszy czystej jest potworną zbrodnią. Bo dusza czysta jest niemal niebiańska, a najłżejsza plamka na białej szacie dziewicy jest rzeczą równie wstrętną, jak brudne łachmany żebraka. Lecz splamiona szata jest wypadkiem, nieszczęściem; splamiona dusza — zbrodnią. Bóg nie odmierza nigdy skruczy, nie udziela jej dawkami, więc tyleż skruczy potrzeba na wymazanie drobnej plamki, co i na starcie grzechów całego życia. Myśli te przygnebiały okrutnie Juljusza, gdyż namiętność, podobnie jak prawa ludzkie, nie znają litości ni przebaczenia. A mają więcej mocy i rozumują prawidłowiej, gdyż opierają się na świadomości i sumieniu, to znaczy władzach nieomylnych, jak instykt. Juljusz wrócił do domu zrozpaczony, blady, zgnębiony poczuciem winy nie do darowania, a jednak, wbrew woli, czuł głęboką radość z powodu niewinności żony, którą podejrzewał był. Wszedł do niej drżący, znalazł ją w łóżku, w gorączce, siadł obok łóżka, ujął ją za rękę, którą okrył pocałunkami i łzami.

— Drogi aniele, — rzekł do niej, gdy byli sam na sam. — To skrucza...

— Za co? — odparła.

Powiedziawszy te słowa opadła na poduszkę, zamknęła oczy i tak leżała nieruchomo, starając się ukryć tajemnicę swych cierpień, aby nie przerazić męża. Była w tem delikatność iście macierzyńska, delikatność kobieca. Długo trwał milczenie. Juljusz, sądząc, że Klementyna śpi, począł wypytywać Józefinę o stan zdrowia pani.

(d. c. n.)

NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośzenie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliśczyńska.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Drak L. Billińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.